

Karolina Horoszko – Nagroda I

„Kroniki sejneńskie” Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” reż. Bożena Szroeder

Na informację o przedstawieniu „Kroniki sejneńskie” Ośrodka „Pogranicze – kultur, sztuk, narodów” natrafiłam przypadkiem. To był jakiś dziwny zbieg okoliczności, niezwykle uśmiech losu, że w tym bałaganie internetowym udało mi się znaleźć wiadomość o tym spektaklu. Kilka prostych wyrazów, (że spektakl, że o 18, w Famie), zlepionych obok siebie plątało się w sieci. I tylko nieliczni ulegali i czytali to. W dodatku ten niesamowity minimalizm i schematyczność zamiast zachęcić (że warto), wywołać pozytywne emocje, zainteresować – pozostawiały czytelnika w niepewności, by toczył sam ze sobą walkę „iść czy nie iść”. Szli, więc jedynie ciekawi i odważni, których jakieś niewidzialne, nieokiełznane siły ciągnęły, by zobaczyć to owiane głęboką tajemnicą przedstawienie. I ja też się wybrałam, choć ciekawska może nie jestem, odważna... chyba też. Szczerze mówiąc, zrobiłam to na przekór moim koleżankom i kolegom, którzy z zjadliwością i niezwykle zacięciem twierdzą i wygłaszają wszem i wobec, że teatr to nuda i nic ciekawego – przedstawienie dla dzieci z i tak od dawna znanym zakończeniem („i żyli długo i szczęśliwie”). Tak to zwykle jest w bajkach. Ja też dawno w teatrze nie byłam... Ile to lat minęło? „Tak, tak Karolino” – pomyślałam sobie w duchu – „Czas się ukulturalniać”. I tak oto na przekór wszystkim i wszystkiemu – poszłam. A co tam...

Owiane głęboką tajemnicą „Kroniki sejneńskie” wystawiano w niedzielę. Organizatorzy, wybierając datę wystawiania „Kronik...” mieli zapewne na uwadze to, że w ten dzień wolny od pracy, kiedy to wreszcie można bez wyrzutów sumienia porzucić codzienne obowiązki i oddać się przyjemnościom, przybędzie więcej ludzi. Mimo tych „sprzyjających okoliczności”, nie przyszło wielu białostoczan, choć im bliżej godziny osiemnastej w wąskim korytarzyku przy wejściu do Famy zaczęło się robić ciasno i głośno. „Mogliby już nas wpuszczać” – usłyszałam za plecami. Nikt nie zareagował, więc w ścisłości i hałasie staliśmy dalej. Dziś wiem, że to czekanie w niecierpliwości i ten dreszczyk niepewności, co też jest za tymi pilnie strzeżonymi drzwiami były z pewnością zamierzone i zaplanowane. Cóż to byłoby za efekt, gdyby już kwadrans przed przedstawieniem wszyscy siedzieli na miejscach i sztuka tak po prostu się zaczęła, bez zgiełku i nuty zainteresowania ludzi. Planowo o osiemnastej wpuszczono widzów i rozwrzeszczany, rozgadany tłum wlał się do cichutkiego, ciemnego pomieszczenia. Ich ciekawość została zaspokojona – już siedzieli, już widzieli scenę, aktorów, którzy na niej stali, chciałoby się powiedzieć – i już słyszeli pierwsze słowa, ale nie – nie słyszeli nic, bo było cicho, cichutko, cichuteńko – jak makiem zasiał. Gdyby przeleciała gdzieś obok mucha, z pewnością byłoby słychać trzepot jej skrzydełek. Milczeli wszyscy – dziwne uczucie, po takim koncercie ludzkich wrzasków i rozmów.

Na scenie stali nieruchomo aktorzy. Nie byli to starsi ludzie, dorośli też nie, nie można ich też nazwać dziećmi. To byli po prostu gimnazjaliści (starszym wiekiem, którzy zagubili się w systemie dzisiejszej oświaty tłumaczę 14 – 16 - latkowie). Tacy ni to dzieci, ni to dorośli. Stali na scenie ze spuszczoneymi głowami. Byli w moim wieku – praktycznie jako jedyni w tym towarzystwie. Rozejrzałam się wokół i nie zdziwiłam się nic a nic - na widowni zasiadła prawie sama starszyszna. Uczniów była garstka – trzy, góra cztery osoby. Chciałoby się krzyknąć: młodzi do teatru! Teraz! Przedstawienie dla was! Ale oni tego raczej nie usłyszą – ten krzyk zginie w pierwszych dźwiękach ich rąbanki – technawki, popu, rocku czy innej mikstury muzycznej, która czy noc czy dzień rozbrzmiewa najgłośniejszym jak się da w głośnikach ich discmanów czy innych muzykograjków. Nie usłyszą, nie zrozumieją...

Można było zgubić się w ciemności pomieszczenia – delikatną smugą jasnego światła oświetlono jedynie scenę. Przez to było nastrojowo, mrocznie, trochę tajemniczo. Nastoletni aktorzy ubrani byli podobnie jak na jednym z finałów „Szansy na sukces” – dziewczyny w białe sukienki, chłopcy w ciemniejsze marynarki. Komuś mógłby się ich styl nie podobać,

uważałby go za mało ciekawy, zbyt ubogi... Ale drogi znawco mody - tu strój nie był najważniejszy. Był normalny, zwyczajny, chociaż gdy się dokładnie przyjrzeć - wiał przeszłością, był jakby wyjęty z szafy babci czy dziadka, ale o to właśnie chodziło- by było jak najbardziej dalekie dzisiejszym czasom, ale równocześnie realne, prawdopodobne. Najważniejszy element sztuki (obok samych aktorów, bo Ci - jak wiemy - zawsze są naj...) stanowiła mimo wszystko kolorowa, pomalowana ciepłymi barwami makieta miasta. Wykonali ją własnoręcznie gimnazjaliści - ci sami, którzy stali na scenie. To gliniane mini miasteczko nadawało przedstawieniu szczególny charakter – dodawało uroku, ubarwiała, sprawiało wrażenie bardziej niezwykłego. W takiej mrocznej atmosferze doprawionej ciepłymi elementami glinianej makiety można było bez trudu porzucić przeróżne chodzące po głowie myśli i oddać się wspomnieniom i refleksji, co też większość widzów uczyniła. Przyjrzałam im się. Mieli zamyślane, zadumane, wyraźnie szperające w przeszłości oblicza. Od osiemnastej byliśmy w Sejnach – zlepek wielu kultur i narodów. Dzięki aktorom przenieśliśmy się na fali wspomnień, pozostawiając Białystok, problemy, własne sprawy, pracę, szkołę... Mieliśmy nowe życie – na wsi, gdzie każdy każdego sąsiada zna, gdzie nikt nie jest anonimowy. Poznaliśmy opowieść o pięknej Racheli, która zmarła na suchoty. Nasłuchaliśmy się o taborach cygańskich, które nieraz wędrowały przez miasteczko przed wojną, o gęsiach szmuglowanych przez granicę, o dziadach spod kościoła i o żydowskim dziecku ocalonym od śmierci. Wszystko to podane jak na tacy - prosto, przystępnie i zrozumiale. Bez żadnych dat, choć to wszak „Kroniki...”. Bywało zabawnie, wesoło, ale niekiedy także – smutno, a nawet tragicznie. Jak w życiu. Radość nie trwa przecież wiecznie. Przeżywaliliśmy wszystko, każdą usłyszaną wiadomość. Raz serce cisnęło się z żalu, raz cieszyło i radowało. Były krzyki, były wrzaski, płacz, śmiech i śpiewy – w różnych pogranicznych językach. Gimnazjaliści rozplywali się w przeróżnych pieśniach, których dziś nie można nigdzie usłyszeć. A szkoda. Była też gra najbardziej poruszającego instrumentu ze wszystkich – skrzypiec. Bynajmniej nie było to nagranie puszczane z kasyty – a rzeczywista gra jednej a dziewcząt. Każde szarpnięcie struny wywoływało poruszenie, przywoływało smutek.

Aktorzy szeptali w różnych językach i każdy, kto chwali się znajomością angielskiego czy niemieckiego i tak nie rozumiałby tego splotu pięknych obco brzmiących słów. To były języki pogranicza – dla zwykłych, szarych obywateli – niezrozumiałe, kryjące ogromną tajemnicę. Jakże miło było usiąść i posłuchać jak mówią ludzie mieszkający kilkanaście kilometrów stąd. Bo Sejny – ku zdziwieniu wielu – nie znajdują się gdzieś tam, za górami, za lasami, za siedmioma... To mała miejscowość na Podlasiu, o której istnieniu chciała przypomnieć ta grupka gimnazjalistów. I chyba im się to udało. Ukazali przeszłość tego wielokulturowego miasteczka, zbierając opowieści od domu do domu. Z tych rozmów utkali historię Sejn, którą przedstawiali w wielu miastach Polski.

Nim się obejrzałam przyszedł koniec. Spektakl nie skończył się zwyczajnie. Każdy aktor niósł w dłoni zapaloną świecę i opowiadał jakąś historyjkę – każdy inną, po swojemu. Zabawny to był moment – zupełnie nie jak w teatrze, na spektaklu... Zrobiło się hałaśliwie i bardzo głośno – jakby zapomniano o początkowym spokoju i opanowaniu, pierwotnej ciszy. Raz po raz słychać było salwy śmiechu, morze radości, łzy wzruszenia. Były także brawa – głośne i dynamiczne – jak na koncercie supergwiazdy.

Na takim przedstawieniu jeszcze nigdy nie byłam, takiego widowiska nie widziałam. Młodzi ludzie, którzy prawidłowo powinni w niedzielę wieczorem siedzieć w książkach i uczyć się historii, uczyli jej innych – w sposób znacznie ciekawszy i zdecydowanie bardziej efektowny. Mają chęci, widać ich pełne zaangażowanie, wysiłek, jaki wkładają w pracę nad tym przedstawieniem. To niezwykle, niesamowite i aż szkoda, że tak mało osób przyszło zobaczyć tę sztukę. Ale taki żal chyba zawsze pozostaje, bo Polacy to naród leniwy i nawet gdyby ich tam zaniesiono, zaparliby się, zawrócili i przedstawienia nie zobaczyli. Ja byłam i

wcale nie żałuję. Odbyłam niesamowitą podróż do przeszłości i choć teraz siedzę w przytulnym, ciepłym pokoju to myślami jestem w Sejnach – miasteczku z duszą i niezwykłą przeszłością.